



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE
 DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinnie.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½ na Szpital Dziecinnie.—
 Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinnie. — Za granicą Rsr. 6.—
 Adres Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77.

Treść. Co ja lubię? (wiersz). — Zwierzątka Karolci, (cynkotyp). — Tysiąc lat temu, powiastka, przez Paulinę Kraków. — J. I. Kraszewski, przez Adama Pługa (ciąg dalszy). — Przygody młodego podróżnika w Tatrach, M. J. Zaleskiej (ciąg dalszy) (dwa drzeworyty).— Kalendarzyk, A. z Ch. Borkowskiej (ciąg dalszy). — Łamigłówka. — Zagadka. — Rozwiązanie zagadek z N-ru 2. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Bratki, (śpiew).— W dodatku Historia Biblijna, Z. Zajączkowskiej, (ciąg dalszy).

CO JA LUBIĘ.

(PODSŁUCHANE).

Lubię ja ranek, gdy śpiących ludzi
 Słoneczko budzi,
 I gdy mi mama szepce do uszka:
 „Wstań, nie udawaj leniuszka.”
 Gdy nagle w domu, po nocnej ciszy,
 Robi się gwaro,
 Gdy w mieście każdy biegnie, aż dyszy —
 Ludu — aż czarno.
 I południowe, nie bez przyczyny,
 Lubię godziny,
 Bo tatko z mamą do stołu siada,
 A i nas cała gromada.
 W żywěj rozmowie płyną nam chwile
 Szybko i mile,
 Potém odchodzi każdy od stoła
 Tam, gdzie powinność go woła.

Ale już ponad wszystkie dnia pory
 Lubię wieczory!
 Wtedy tak w domu wesoło, błogo,
 Bo niebrak wśród nas nikogo.
 Mama po dziennych trudach spoczywa,
 Ojciec po pracy;
 Kot mruczy, Burek ogonem kiwa,
 Jedyni u nas próżniacy.
 Siostry i bracia lekye skończyli,
 Więc z nami siedzą;
 Ach, czyż gdzie może być wtedy milej!
 Niech mi najmędrsi powiedzą.
 Wtém słyhać dzwonek.... Biegnę co żywo,
 (Nóżki mam zwinne),
 Co to? Gość może? Gdzie tam!... O dziwo!
 To są Wieczory rodzinne!
 Toż to radości dopięro będzie
 W tój naszej sali,
 Gdy do czytania mama zasiędzie,
 A wszyscy będą słuchali.....

Jaskółka.

TYSIĄC LAT TEMU.

POWIASTKA

przez

Paulinę Kraków.

I ta strzecha choć uboga,
Chociaż niska, przecież bliska
Dla obcego i dla swego;
I od Boga aż do wroga
Jest tu miejsce dla każdego.

WINCENTY POL.

Jeszcze o polskiej ziemi nie wspominali kronikarze, a i mało kto z postronnych wiedział co więcej nad to, że między Bałtykiem, Elbą, Wisłą, a Dunajem, rozsiadły się liczne Sławian plemiona, gdy już tam życie silnym choć cichym płynęło strumieniem, kwitło życie rodzinne pod patryarchalną powagą ojców, rozwijało się rolnictwo, a chów zwierząt domowych dawał dobrobyt mieszkańcom.

Gdy się w pobliżu gęściń zebrały rodziny, za wspólną zgodą łączyły się w tak zwane opola, (może gminy) dla wzajemnej pomocy i obrony przeciw burzliwym sąsiadom, zapędzającym się z bliska lub zdala, najczęściej za grabieżą. Kiedy z nową rodziną za ciasno było komu między drugimi, wybierał sobie siedzibę wśród licznych a gęstych borów, walił toporem drzewa, z pni wznosił chatę, wypalał na jej ognisku wyrąbane korzenie, póki sobie tyle otwartego pola nie wyrobił, ile mu go na gospodarstwo było potrzeba.

Tysiąc lat temu, na niewielkiem wzgórzu wznosił się niski, ciężki budynek, na którym chętnie spoczywało oko rzadkiego przechodnia, bo ściany z grubych kłód modrzewiowych, dach grubo pokryty igliwem, przyciśniętém silnie giętkimi gałęziami leszczyny i często-kół starannie chrustem przepleciony, kazały się domyślać, że tu zamożna jakaś przesiaduje rodzina.

Rozpatrzywszy się bacznie dokoła, łatwo było rozpoznać, jak przezornym i umiejętnym być musiał pierwszy tej siedziby założyciel. Od północy zostawiono kilkanaście drzew rozłożystych, jakby tu same w półkole wyrosły, dla zasłonięcia domu od slot jesiennych, zimowych śnieżyc i zawiei; dalej, jakby na dalszą straż wysunięte wysmukłe dęby, wzwar-

tój stojąc gromadce, silnemi konary stawiały opór natarczywym wiatrom i burzom szalonym.

W tym też celu pozostawiono z początku te olbrzymy, bo po otwartém polu dokoła, pustém już w późnej jesieni, sterczące tu i ówdzie pnie rozsochate świadczyły, że to urodzajne dziś błonie przed laty ciężką pracą wydarto z pod cienia drzew odwiecznych, a walką z różnorodnym zwierzem przywłaszczono sobie jego siedzibę.

Zagłuszona zbitym zarostem ziemia, wydobyta na słońce, wygrzała się w ożywczych jego promieniach, przesiąkła nieznanym blaskiem i wypłaciła się swemu odkrywcy, bogato wydając pożyteczne plony, w miejsce dawniejszych mchów i porostów, rozlegających się dotąd swobodnie w mroku gęstych lasów, które w ciemnych liniach, w oddali, poruszane wiatrem jesiennym, widniały prawie dokoła.

Nie lękano się jego poświstu w domu na wzgórzu stojącym; jedyny wygląd na pole nawet zasłonięty był zwierzęcemi skórami, które rozpięte i napuszczone tłuszczem, musiały chronić od zimna użyczać wewnątrz pewnego światła.

Wąskie wrota zbite z równych okrągłaków, uczepione na sękach zawiasami z grubej skóry dzika, dawały przystęp do wnętrza rzadko wychodzącym mieszkańcom i rzadziej jeszcze zagląającym tu gościom. Po za niemi ukazywało się podwórze, otoczone z jednej strony ścianą domu, z drugiej niższemi jeszcze budowlami, z kąd dochodzące rzenie i poryk przeciągły wskazywały, że stanowią czworonożnych domowników mieszkanie. Dalej przy częstokole stało parę pni niskich, szorstką korą pokrytych, a choć w zimną obecną porę nie słyhać było srebrzystego brzęku, który się tu w lesie rozlegał, nie myliły się nikt uznając je za siedzibę pszczołek roboczych, co plonem swojej pracy słodzą zbyt nieraz suchy chleb rolnika, jeżeli w ciężką zimę pamięta o zabezpieczeniu skrzętnych pracowni od chłodu i głodu.

Pierwszy osadnik tutejszy rozpoczął ciężkie swoje zadanie z punktu, w którym oprócz ziemi co go żywić miała i błękitu nieba, który sobie własną ręką odsłaniał, by utkwione w siekierę oczy podnieść doń od czasu do

czasu, znalazł też napój przejrzysty, krzepiący w znoju i rozlewający życie dokoła. U stóp ogromnej lipy, z pod kamienia sączyło się z cichym szmerem prawie nieznaczne źródółko, lecz i tu dłoń pracowita pokierowała darem przyrody; o kilka kroków ułożono płaskie kamienie, obstawiono niemi wykopany poniżej dołek głęboki, poprowadzono rowek aż pod częstokół i otrzymano całą wygodę domową; było źródło, sadzaweczka ku gospodarskiej potrzebie i strumyczek, odprowadzający zbywającą wodę na coraz szerzej uprawne pole, by żyźność jego podnieść i świeżą utrzymać roślinność.

Znalazszy się w podwórzu, poszukajmy mieszkania. Oto włosami jeszcze pokryta skóra łosiowa zwiesza się z wysoka ku ziemi, uchyłmy ją, przestąpmy ukryty po za nią próg wysoki, a znajdziemy się w obszernej izbie, po której rozejrzeć się warto. Mroczno w niej, choć da dworze zaledwie się ma ku wieczorowi, światło dnia jesienno z trudnością się przeciska przez okno błoną zasłonię, a zamiast oświetlać ściany, walczy owszem z płomieniem sęków, palących się w obszernym kominie wzniesionym naprzeciwko i znaczną część izby zajmującym. Przy nim ogromne ławy dębowe stanowią najgłośniejsze sprzęty; broń różnego rodzaju, myśliwskie i rybackie przyrządy, szaty i futra porozwieszane na ścianach, dowodzą, że tu dostatek panuje. W rogu izby z mchów i suchych liści usłano szerokie łoże; puszyste futra niedźwiedzie pokrywają je dostatnio, a wilki powszednie rozesały się pokornie pod nogami i pokryły podłogę z twardo ubitej ziemi, widocznie by się z niej nie wznosił chłód i nie dochodził do spoczywającego na łożu sędziwego starca. Głowa jego o wysokiem czole wspiera się o ciemne skóry, a twarz wyschła i blada ostro się od nich odcina, wychudłe ręce utonęły prawie w rosomakowem okryciu, ale ilekroć smolna głównia jaśniejszym buchnie płomieniem i po ścianach nim posawoli, blask ten odbija się w czarnych głębokich oczach, jakby w nich drugie tłało ognisko, z którego od czasu do czasu gęste iskry pryskają.

Nad łożem zawieszona wielka siekiera i łuk z kołczanem, napełnionym strzałami, nieco odmiennie kształtem od takiejże broni zdołają-

cęj przeciwległą ścianę i znać z dawniejszego czasu pochodzące, widocznie należały do spoczywającego; w samym zaś kącie przytwierdzone do ściany, jaśniejszą od nich barwą odznaczało się kilka małych naczyń i bryłek glinianych, którym przypatrzwszy się bliżej, możnaby przyznać podobieństwo do posążków, używających tu wysokiego znaczenia, bo co raz spojrzenia obecnych w izbie zwracały się ku nim z wyrazem poszanowania.

Przed kominem młoda jeszcze niewiasta w ciemnym prostym odzieniu, przykłęknawszy od strony słabszego żaru, wyciągała długim zastruganym drewnem z pod gorącego popiołu rumiane placki i otarłszy każdy garstką zwilżonej słomy, składała na rogu ławy, na której dziewięcioletnia może dziewczeczka siedząc, oskubywała czarne połyskliwe pierze z dwóch głuszców i składała je w kobiałkę uplecioną z giętkich prątków. Twarzyczka jej rumiana, podobna zupełnie do starszej kobiety, wskazywała dokładnie, że to matka była i córka, tylko biała i długa a cienka chusta, przysłaniająca czarny włos i szyję gospodyni i nadająca jej prawdziwe znaczenie białogłowy, różniła oprócz wieku Zbysławę od Halki, której bladozłote warkocze, wijąc się po ciemnej sukience, prawie do jej bosych nówek splewały.

(d. c. n.)

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI,

przez

Adama Pługa.

(*Ciąg dalszy*).

Stan ówczesny (t. j. po roku 1830) piśmiennictwa polskiego w ogólności, a szczególnie na Litwie, nie był wcale pocieszającym. Mieliśmy już wprawdzie dosyć powieści zarówno historycznych, jak i obyczajowych, w pośród których „Dwaj Sieciechowicze“ Niemcewicza, „Pojata“ Bernatowicza, „Pan Starosta“ i „Dodosiński“ Skarbka, „Dziennik franciszki Kraszińskiej“, „Tańskiej“, oraz „Wieczory adwentowe“ Jaraczewskiej, odznaczały się charakterem prawdziwie narodowym i malowały świat nasz i naszych ludzi, ich uczucia, myśli, zwyczaje i obyczaje, po prostu, naturalnie i wiernie; więcej jednakże było takich,

które w rodzaju historycznym ślepo naśladowały Waltera Scotta, w obyczajowym zaś, grzeszyły ekliwą czułościowością, brakiem prawdy i naturalności w uczuciach, swobody i prostoty w języku.

Lecz w epoce, w której Kraszewski na widownią literacką wystąpił, już nawet i o takich utworach nie było słychać; w Wilnie wychodził tylko Kuryer Litewski, jako Gazeta urzędowa, a drukarnie, oprócz książek do nabożeństwa, dzieł szkolnych lub gospodarskich, kalendarzy, senników, na cały pokarm umysłowy Litwy i Żmujdzi dostarczały tylko lichych powieści w lichych przekładach z francuzkiego, niemieckiego lub rossyjskiego.

Nie dziwy zatem, że Kraszewski, przemówiwszy językiem wolnym od przesady, pełnym prostoty i swobody, a już przez to samo wdzięcznym i świeżym i dla każdego zrozumiałym, od razu znalazł chętnych słuchaczy i obudził żywe zajęcie. A że pisał o ludziach i o rzeczach blizkich serca tej społeczności, dla której swoje pisma przeznaczał, że i z talentem prawdziwym i dowcipem niepospolitym malował w nich obrazy z życia rzeczywistego; więc choć ostro za wady i zdrożności chlostał spółziomków, choć nie jeden czuł się dotkniętym, napotykać w dziełach jego ośmieszono i wyszydzone, jakby własne złe obyczaje i postęпки naganne i na autora za to powstawał; każdy jednak chętnie go czytał, a czy ganił, czy chwalił, czy gniewał się, czy śmiał się, nie mógł wszakże względem niego być obojętnym, i zarówno naganą jak pochwałą przy czyniał się do tém większej jego wziętości i rozgłosu.

Naturalnie, że i krytyka piśmiennicza musiała nań także zwrócić uwagę: ta, obrazki jego obyczajowe przyjęła dość przychylnie i talent mu od razu przyznała; lecz za powieści historyczne srodze zgromiła, zarzucając mu, po części słusznie, że w nich z czarnej jedynie strony przeszłość narodową malował, czego się poprzednicy jego w tym rodzaju nie dopuszczali, chętniej wybierając takie przedmioty, coby serce zadawałały i ducha podnosiły przypomnieniem charakterów wielkich i czynów świetnych. Kraszewski poszedł inną drogą, gdyż taki był kierunek jego talentu; takie usposobienie: złe zarówno go obu-

rzało w terażniejszości, jak i w czasach dawniejszych, tu i tam chciał je karcieć zarówno, tu i tam, na nie zgoła nie bacząc, szczerze wypowiadał, co myślał, i tak rzeczy przedstawiał, jak je widział w życiu, czy w księgach starych, ale nigdy nie miał złej chęci, nigdy się umyślnie z prawdą nie mijał.

Tak tedy, zaznawszy już i rozkoszy i goryczy tego zawodu, któremu całe życie pragnął poświęcić, Kraszewski, znany już w świecie literackim i dość głośny wśród czytającej publiczności, uzyskawszy pozwolenie na wyjazd z Wilna, do rodziców wreszcie powrócił.

Nie potrzebujemy powiadać, jaka to radość, jakie szczęście było dla niego; ale nie możemy także zamilczeć, że z błogiem tém uczuciem łączyła się i wielka przykrość. Odzyskiwał błogie uciechy życia rodzinnego, których był pozbawionym tak długo, i do których tęsknił serdecznie; ale tracił to wszystko, co się już stało najgłówniejszą potrzebą i ledwie nie warunkiem jego istnienia: tracił te archiwa, te biblioteki, księgarnie i drukarnie, do których całym sercem był przyrósł; tracił kolegów i przyjaciół, powierników uczuć i myśli, z którymi na poufnych, gwarnych gawędkach, albo na czytaniu bądź własnych, bądź też cudzych utworów, spędzał miłe wieczorki; tracił ten byt swobodny, niezależny, który tak dobrze odpowiadał jego usposobieniu, pozwalając mu się oddawać bez najmniejszej przeszkody upodobanej pracy literackiej, schodził w miejskie zacisze z tej gwarnej i ruchliwej widowni, na której dotąd walcząc, odniósł wprawdzie ranę nie jedną, ale nie jeden też i wieniec uzyskał. (d. c. n.)

PRZYGODY MŁODEGO PODRÓŻNIKA W TATRACH.

z dziennika Kazia przepisała
M. J. Zaleska.

(Ciąg dalszy).

Jadwisia stała obok mnie, oczy jej z radości błyszczały, duży swój kapelusz słomiany odrzuciła na ramiona i zaczęła deklamować głośno przesliczny wiersz Pola:



Zwierzątka Karolci.

Jak potopu świata fale,
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu,
Jak graniczny słup zuchwale!

Doprawdy żadne porównanie nie może być trafniejsze; ten wał niesłychany, sterczący przed nami, zupełnie tak wyglądał, jak gdyby jakieś rozhukane fale zastygły nagle i skamieniały.

Ale trzeba było jechać dalej. Spuściliśmy się z Obidowój, która jest już ostatnią górą z pasma Bieskidów i wkroczyliśmy w dolinę Nowotarską, tak zwaną od miasteczka Nowego Targu, gdzie stanęliśmy na popas. Ja zaraz, nie tracąc chwili, przypomniałem ojcu serdaki, a woźnica nasz, usłyszawszy to, skinął na jakiegoś górala, który stał na rynku i ten przyniósł wkrótce do zajazdu kilka takich



Wejście na Gerlach.

kożuszków, większych i mniejszych, przesłizniętych wyszywanych różnymi kolorami, z brunatnej skóry, z miękkim, jedwabistym futerkiem. Dowiedziałem się, że to są skórki kozie, to jest dzikich kóz górskich. Ojciec kupił aż dwa serdaki, jeden dla mnie, drugi jeszcze ozdobniejszy dla Jadwisi, bo i dziewczęta góralskie ubierają się w nie tak samo, jak chłopcy.

Nowy Targ jest to wcale porządne miasteczko, ma domy zajezdne, restauracją i kilka sklepów. Wjeżdżając do miasta, przy samej drodze, widziałem na wzgórzu starożytny kościółek Ś-tęj Anny, o którym opowiadają, że był pobudowany przez zbójców w tych czasach niezmiernie dawnych, kiedy tu jeszcze żadnego miasta nie było, a całą okolicę pokrywały ogromne bory. Obraz, znajdujący się dotąd w wielkim ołtarzu, miał być przez tych zbójców wykradzony na Węgrzech. Dziwnie ci ludzie pojmwali pobożność, jeżeli to podanie jest prawdziwe.

Wyjechawszy z Nowego Targu, nie traciłszy już z oczu wspaniałych gór, które piętrzyły się przed nami w poprzek drogi, jakby mur graniczny. Ale

rzecz dziwna; z początku byłem pewny, że za małą chwilkę do nich dojedziemy, tak mi się wydawały niedaleko, tymczasem jechaliśmy i jechali bez końca, mijaliśmy łąki, pola, wioski, a one wciąż stały w tém samym oddaleniu, jakby sobie z nas żartowały, że ich doścignąć nie możemy. Ojciec mówił, że to jest takie złudzenie wzroku.

Tuż za Nowym Targiem zlewają się w jedno koryto dwie rzeki tatrzańskie, dwa Dunajce, Czarny i Biały; Czarny, tak nazwany dla tego, że płynie na torfowym gruncie i dno ma ciemne. Trzeba wiedzieć, że te rzeki górskie niezmiernie są przezroczyste i można w nich całe dno z łatwością obaczyć. Jechaliśmy brzegiem Białego Dunajca, który jest prześliczny i więcej mi się jeszcze podobał od Raby; tak zwawo, tak wesoło się toczy wśród łąk zielonych, huczac, podskakując po kamieniach, bryzgając pianą białą. Po drodze ciągnie się długa wieś, Szaflary; niegdyś, w XIII wieku, była to osada Cystersów, którzy tu wszędzie karczowali lasy. Był nawet w Szaflarach zameczek obronny, zbudowany przez zakonników, bo ci nieraz chronić się musieli przed najazdami zbójców, pustoszących tę okolicę. Dziś na miejscu zameczku, na skale, stoi ozdobna altana ocieniona drzewami. Dalej jechaliśmy przez wieś Dunajec Biały, potem przez Poronin, aż wreszcie dotarliśmy do Zakopanego, dogoniliśmy Tatry, które teraz stanęły bliżuténko przed nami, bo wieś Zakopane rozciąga się u samego podnóża gór.

IV.

A toż dopiero niespodzianka! Wczoraj przyjechaliśmy tak wcześniej do Zakopanego, że miałem czas przypatrzeć się do woli tym kochanym Tatom; nauczyłem się nawet od naszego gospodarza rozpoznawać każdą znaczniejszą górę z osobna, jeszcze w łóżku, nim usnąłem, powtarzałem sobie ich nazwy, żeby nie zapomnieć, dzisiaj więc rano, jak tylko się przebudziłem, pędem pobiegłem do okna, chcąc zaraz odszukać Gewont, Czerwony Wierch, Murań; patrzę, patrzę, przecieram oczy, a tu niema nic! Ale to nic a nic, jak gdyby nigdy przed temi oknami żadnych gór nie było. Może ja śpię jeszcze, pomyślałem sobie, może to mi się śni tak dziwnie, i zacząłem

trzcć oczy coraz mocniej, a wtém ojciec wszedł do pokoju, mówiąc:

— Otóż to próbka tutejszej pogody; świata Bożego nie widać, taka mgła.

Nigdy w życiu takiej mgły nie widziałem jeszcze; zdawało się, że gęsta chmura osunęła się na ziemię. Ale to podobno nie chmura się osunęła, tylko my dostaliśmy się aż do chmur. Wczoraj jeszcze Jadwisia mówiła: — czy my też napotkamy kiedy chmurę, jak będziemy po górach chodzili? Otóż ma, czego chciała; ale to nie bardzo przyjemnie, bo z tej chmury pewnie spadnie deszcz i nie można będzie pójść nigdzie. Cóż robić, trzeba się uzbroić w cierpliwość, a ponieważ dziś niema już co myśleć o żadnej wycieczce, zabiorę się więc do dziennika i opiszę Zakopane, ale tak, jak było wczoraj, nim ta mgła, czy chmura, nadciągnęła. Jak to dobrze, że człowiek ma pamięć i może sobie wyobrazić nawet z zamkniętymi oczyma takie rzeczy, których wcale przed sobą nie widzi.

Tu naprzeciw naszego okna, trochę na prawo, stoi Gewont, ogromna góra z wierchołkiem głęboko wyszczerbionym. Gewont jest kompasem zakopiańskim, bo promienie słońca padają wprost na tę szczybę w samo południe. Czerwony Wierch wznosi się trochę dalej, dla tego też niższy się wydaje, chociaż w rzeczywistości jest wyższy od Gewontu. Górale każdy szczyt wyniosły nazywają *wierchem*, a ten naprawdę jest czerwony, od mechów tego koloru, które na nim rosną. Nie będę tu wyliczał całego szeregu gór, trudno zresztą te wszystkie nazwy spamiętać, wspomnę tylko jeszcze Murań, podobny do piramidy, który widać znów na drugim końcu łańcucha, na lewo; jest on ztąd tak oddalony, że wygląda, jakby tonął w mgle jakiejś różowej. Jadwisi ten Murań najwięcej się podobał, a mnie znów Gewont. Najwyższa z tych wszystkich gór jest Świnnica, a jeszcze wyższe szczyty, Gerlach, Łomnica, Lodowy szczyt, są znacznie dalej, na Śpiżu, i ztąd ich dojrzyć nie można. Dawniej Łomnica uważana była za najwyższą górę pomiędzy Tatrami, ale przekonano się, że Gerlach jest jeszcze wyższy, a zmierzono go dokładnie, bo kilku już śmiałych podróżników wdzierają się aż na sam jego wierchołek. Jest to jednakże bar-

dzo trudna wycieczka, jak opowiadał nam Wala, przewodnik, który już nieraz był na Gerlachu. Ojciec obiecuje, że pojedziemy ztąd do Popradu i Szmeksu, i obaczymy tam te najwyższe szpizkie Tatry.

Tymczasem jest i tu co widzieć, w Zakopaném. Ach! jak to wspaniale wyglądało, kiedy mgły tej niecznośnej nie było. Ogromne, nagie, skaliste wierzchołki, to się nazywają turnie. Wszystkie sterczą jedne przy drugich, aż strach patrzeć, bo się zdaje, że to jakiś niesłychany mur zawalił się, pogruchotał i takie po nim rumowisko zostało. Bliżej znów od nas, u podnóża tych turni, ciągnie się szereg gór znacznie niższych, drzewami porośłych; to są *regle*. Każdy regiel ma także swoje osobne nazwisko; jeden naprzykład nazywa się Nosal, dla tego, że z boku podobny trochę do ogromnego nosa.

Najęliśmy sobie wyborne mieszkanie, prostą chatę góralską o dwóch izbach wcale nie bielonych, bo chata zbudowana jest cała z okrągłaków, to jest z wielkich kłód drewnianych, układanych jedna na drugiej. Z wierzchu te kłody wyglądają tak, jak w le-

sie, bo nawet z kory nie obrane, ale wewnątrz chaty zheblowane są równo, jak deski, a szpary pomiędzy niemi mchem poprzątkane. Bardzo to ładnie wygląda. Mamy także przed domem ganeczki z ławkami; dachem pokryty, tak, że nawet w czasie deszczu, będziemy tu sobie mogli siedzieć na świeżem powietrzu. Górale są niezmiernie grzeczni, usłużni, bardzo roztropnie rozmawiają, i prawie wszyscy umieją czytać. A jednak, któżby się spodziewał, że przed laty trzydziestu, nie więcej, ciż sami Zakopianie wyglądali jak dzieci ludzie, nieumieli czytać, nieumieli często i pacierza. Opowiadał nam to wszystko jeden pan, który obok nas w sąsiedniej chacie mieszka, bo on zna Zakopane od dawna, i prawie co rok tu na lato przyjeżdża. Otóż dawniej nie było tu

kościół, a mieszkańcy tutejsi musieli chodzić na nabożeństwo do dalszej wsi, często też nie chodzili wcale. Dopiero w r. 1847 zbudowano kościółek drewniany w Zakopaném, a proboszczem został ksiądz Józef Stolarczyk, który się w górach urodził, niezmiernie więc kocha góry i lud góralski. Podobno z początku nieraz się tu zdarzało, że mężczyźni przychodzili do kościoła z fajkami w zębach, a kobiety oglądały się i rozmawiały głośno w czasie nabożeństwa; ale ksiądz proboszcz dobrocią swoją i cierpliwością wszystko to przerobił. Założył zaraz szkołkę, w której młodzież uczyła się czytać i pisać, urządził biblioteczkę, a nadewszystko naukami swojemi tak potrafił wpłynąć na lud, że ci, którzy dawniej

znali górali zakopiańskich, wydziwić się tej zmianie nie mogą.

Słuchając tego opowiadania, cieszyłem się niezmiernie, że poznam tego zacnego księdza Stolarczyka. Nieraz czytając życiorysy i oglądając wizerunki takich zasłużonych ludzi, którzy wiele dobrego zrobili na świecie, myślałem sobie, że radbym którego z nich z bliska obaczyć. A kiedyśmy tak rozmawiali, siedząc

na ganeczku, od strony kościoła ukazał się właśnie ksiądz proboszcz, a spostrzegłszy nowo przybyłych podróżnych, zatrzymał się i uprzejmie nas przywitał. (d. c. n.)



Przewodnik Wala.

KALENDARZYK.

(Ciąg dalszy).

— 31 Stycznia w 1667 roku, umarł we Wrocławiu Jerzy Lubomirski, słynny hetman, zwycięzca z pod Zborowa, z pod Beresteczka i z pod Żwańca, którego życie pełne przygód, mogłoby posłużyć za ośnowę do ciekawej powieści. Wyruszając na pierwszą wyprawę do Siedmiogrodu, za-

wiesił polną buławę swoją u obrazu Matki Bożej w Częstochowie, polecając się jej opiece. Powrócił zgromiwszy nieprzyjaciół kraju i następnie ciągnął nad nimi miewał przewagę, z której bądź jawili się strony. Poskromiwszy w ostatku bunt Chmielnickiego na Ukrainie, zaślepiony pychą, wypowiedział posłuszeństwo królowi, pod nogi którego niedawno rzucał zdobyte na polu bitwy chorągwie i podniósł oręż przeciw niemu. Nie długo wszakże trwał w złém, które go opanowało, upokorzył się i przeprosił króla, a lubo umarł wygnancem, zniesiono w parę lat potem ciężący nad nim wyrok banicyi i ciało sprowadzić dozwolono do grobów rodzinnych w Wiśniczu. Córka jego Krystyna wydana za Feliksa Potockiego, taką zasłynęła pobożnością, że zyciorys jej pomieszczono w książce, pod napisem: *Matka Świętych*, pośród żywotów świątobliwych i bogobojnych polaków i polek.

— 19 Stycznia 1608 r., umarł w Krakowie Bernard Maciejowski, arcybiskup gnieźnieński, syn zasłużonej w narodzie rodziny biskupa Samuela, przyjaciela i doradcy Zygmunta Starego. Bernard obrał sobie za młodu zawód żołnierski, i odznaczywszy się w nim, byłby posiadał pewnie następnie najwyższe na tej drodze zaszczyty, gdyby nie to, że Bóg skierował myśli jego inaczej. Wśród gwaru obozów uczuwszy nagle powołanie do kapłańskiego stanu, udał się niebawnie do Rzymu, gdzie słuchając pilnie przez lat kilka nauk duchownych odebrał pierwsze święcenia. Gdy następnie za powrotem do kraju, przeszedłszy niższe stopnie, został najpierw biskupem Łuckim, był prawdziwą Opatrznością swęj dyccezyi, wyniszczonej pod ów czas przez wojnę i mory. Wszystkie dochody rozdzielał pomiędzy ubogich, których ojca otrzymał miano, nie sobie prawie nie pozostawiając; opowiadano, że gdy pewną razą nie miał czém opędzić kosztów pogrzebu biednej kobiety, odjął i ofiarował na ten cel dwa złote ogniwa swego biskupiego łańcucha. Dokonał wielu prac ważnych, mających na celu udoskonalenie duchowe podwładnych sobie kapłanów, a obok tego, nie zaniechał nigdy dopełnić najprostszego obowiązku, i nieraz sam przygotowywał na śmierć ubogich, gdy zdarzyło się, że

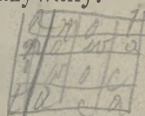
nie znalazł księdza w pobliżu. Przetrawszy w miłości i pracy siedmdziesiąt blisko lat życia, umarł w Krakowie, gdzie pogrzebiony został w kaplicy swęj rodziny na Wawelu, z wielką czecią i żalem obecnego ludu.

(d. c. n.)

A. z Ch. Borkowska.

Łamigłówka.

W kwadraciku złożonym z 16 podziałek ułoż następujące litery: 3a, 3o, 2c, 2n, 2t, 2w, 1i, 1k, tak, ażeby w podziałkach poziomych, zarówno jak i w pionowych utworzyły cztery wyrazy oznaczające: 1) przedmiot niezbędny w lampach i świecach, 2) pewną nazwę roli, 3) ulubiony produkt roślinny, 4) sprzęt domowy, przy podawaniu jedzenia używany.



Z a g a d k a.

Pan Sędzia z żoną i pan Radca z siostrą poszli na przechadzkę do Saskiego ogrodu. Jakimże sposobem, gdy tam wchodzili, stróż stojący przy bramie widział tylko trzy osoby?

Rozwiązania do N-ru 2-go.

Anagramu — S a n, h a n, t a n, J a n.

Zagadnienia naukowego — *Cztery podobieństwa:*

1) Ptaszek obdarzony jest życiem — ziółko także. 2) Ptaszek rodzi się i umiera — ziółko także. 3) Ptaszek nie może żyć bez pokarmu — ziółko także. 4) Ptaszek może służyć za pokarm człowiekowi — ziółko także. — *Cztery różnice:* 1) Ptaszek porusza się dowolnie — ziółko nie ma ruchu. 2) Ptaszek czuje ból — ziółko bolu nie czuje. 3) Ptaszek potrzebuje pokarmów zwierzęcych lub roślinnych — ziółko żywi się mineralnymi ciałami. 4) Ptaszek ma dziobek do pobierania pokarmów — ziółko pobiera żywność korzonkami i liściem.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Halinie M. — Przesłane wiersze drukowane nie będą; mamy ich bowiem spory zapas w naszej tece.

BRATKI.

Duetino na 2 Soprany.

Wiersz Deotymy.

Muzyka Karola Studzińskiego.

Moderato.

For-
te-
pian

The piano introduction is written for a grand piano in 2/4 time. It begins with a piano (*p*) dynamic. The right hand features a melody of eighth and sixteenth notes, while the left hand provides a steady accompaniment of eighth notes. The piece concludes with a *p* dynamic marking.

Sopran 1-szy.

Sopran 2-gi.

The first system of the duet features two soprano parts and piano accompaniment. The vocal lines are in treble clef, and the piano accompaniment is in bass clef. The lyrics are: "Do - tą o brat - ku w ci - szy o - gro - dów Kwit - niesz sa - mot - ny Kwit - niesz nie śmia - ły". The piano part includes a *sf* (sforzando) marking.

2-gi.

1-szy.

The second system continues the duet with two soprano parts and piano accompaniment. The lyrics are: "Lecz i dla cie - - bie błys - nie dzień chwa - ły Ty bę - dziesz kie - dys go - dłem na - ro - dów". The piano part includes a *sf* marking.

1-szy i 2-gi.

The third system concludes the duet with two soprano parts and piano accompaniment. The lyrics are: "Do - tą o brat - ku w ci - szy o - gro - dów Kwit - niesz sa - mot - ny Kwit - niesz nie śmia - ły". The piano part includes a *sf* marking.

I-szy.

2-gi.

I-szy i 2-gi.

Lecz i dla cie - bie błyś - nie dzień chwa - ły Ty bę - dziesz kie - dys go - dłem na - ro - dów

s *loco*

1-sza. 2-ga.

1-sza. 2-ga. zakończenie

sf *rallent* **FINE**

Sopran I-szy a za powtórzeniem 2-gi.

Gdy już nie bę - dzie dla wszyst-kich lu - dzi in - ne-go mia - na prócz naz-wy bra-ta

Wio - sna rów - no - ści w ser - cach się zbu - dzi *p* I wie-niecz brat-ków zwięń-czy skroń świa-ta.

p

D. C. al Fine.